

Piotr Zaccone

# Tragiczna noc

Tłumaczyła z francuskiego: Marya Segeny.

Na widok bladej, zmienionej twarzy Sylwii, Frank stanął zdumiony, przejęty wrażeniem. Patrzył na nią bezmyślnie prawie, zaskoczony tylko jednym uczuciem przerażenia, jakie wywołane zostało skonstatowaniem tej głębokiej zmiany, na którą nie był przygotowany.

Doktorzy, obserwujący go, uśmiechnęli się złośliwie dostrzegłszy jego wahanie, które wzięli za nieumiejętność i niepewność, nie dające wiele gwarancji co do jego zdolności fachowych.

Na szczęście Frank nic nie widział i nie przeczuwał niechęci swojego otoczenia. Opanował go jakiś niepokój nerwowy, odbierający chwilowo możliwość oryentowania się i jasność myślenia.

Nagle młody jakiś człowiek przyskoczył do niego i ściskał go gorączkowo, wymówił błagalnie, z odcieniem jednak pewnej wyższości i protekcji.

— Niech ja pan uratuje, a zaręczam, że jutro przyszłość pana ustalona już będzie.

Frank zimno i z odrazą uwolnił dłoń z uścisku młodego człowieka. Odgadywał natychmiast, że musiał to być narzeczony panny de Compans. Krew uderzyła mu do głowy na tę myśl i ostro, wyzywając spojrzął na swojego rywala. Oktawiusz Gaudin przedstawiał bardzo udatny typ wytwornego finansisty.

Był on doskonale znanym w świecie giełdowym paryskim. Twarz jego biała, różowa, okolona misernie zaczesanymi faworykami i oczy jasne, o obojętnym, zimnym spojrzeniu, dostatecznie zdradzały spokojny, zrównoważony stan jego umysłu i wielkie zadowolenie z siebie i z życia.

Włosy czarne musiały być codziennie kręcone rękami fryzjera tak zręcznie i systematycznie na jego głowie. Przedział równy przepalał je na dwie strony, aż do nasady szyi, ukazując przez fantastyczne podczesanie na skroni ucho niewielkie, różowe, prawie kobiece.

Głowa ta, wypieszczona umiejętnie, służyć mogła doskonale za model do najbardziej wykwintnego i wymagającego salonu kosmetycznego.

Oktawiusz Gaudin trawił codziennie parę godzin nad swoją toaletą, odchodząc od lustra dopiero wówczas, kiedy włosy jego, według przyjętej metody, bez zarzutu leżały na głowie, a węzeł od krawatki wykazywał artystycznie ujęte linie. Poza to jeszcze młody finansista posiadał wybitny gust do świecadel i breloków, których zawsze moc niezliczona ozdabiała łańcuszek jego zegarka. W sposobie ubierania się, dobierania barwy krawatów i przez długie i mozolne studyowanie ruchów doszedł do takiej perfekcji elegancyj, iż wkrótce stał się wzorem dla złotej młodzieży, kopiującej starannie jego wygląd i zachowanie się.

Takim był młody człowiek, którego pan de Compans przeznaczył na męża dla swojej jedynej córki.

Frank od pierwszego wejrzenia ocenił wartość moralną swojego rywala i zawiść jego ustąpiła natychmiast uczuciu litości i współczucia dla Sylwii.

Jednakże słowa Oktawiusza dostatecznie okazały mu przykrą dla siebie rzeczywistość, wyrывая go z szalonych marzeń, którym się unieść pozwolił.

Orzeźwiony więc już zupełnie i spokojny, powiódł spojrzeniem po pokoju i teraz dopiero spostrzegł doktorów, szepczących pomiędzy sobą na boku. Odgadywał prędko ich zawiść i postanowił przełamać ją od pierwszej chwili.

— Moi panowie — rzekł ze swobodą, która nie miała w sobie nic ironicznego — jest to wielki zaszczyt dla mnie, iż proszono mnie o radę i zdanie, po zasięgnięciu waszego. Znajduję się przeto w truźnym położeniu, bo czemuż może być moja umiejętności, wobec waszej nauki i doświadczenia. Jednakże nieumiejętność, tak jak szaleństwo, może niekiedy przez nieobliczalne przeczucie, czy traf, odkryć tam prawdę, gdzie jej nie znalazł rozum. Szukamy jej wszyscy, nieprawdaż? Niechże więc zechcą dopomóc mi

w tem zadaniu, mającem na celu uratowanie córki pana de Compans.

— On ma w sobie skromną zarozumiałość — szepnął jeden z doktorów do kolegi.

— Obserwowaliście panowie przedemną jeszcze — ciągnął dalej Frank — różne objawy tego dziwnego przypadku. Czy mogę zaleć prosić o bliższe poinformowanie?

— Obserwacje te są bardzo sprzeczne — wyrzekł niechętnie jeden z doktorów.

— Jednakże — zauważył Frank, ale przerwał rozpoczęte zdanie, bo w tej samej chwili z grupy lekarzy wysunął się jeden i podchodząc do niego, wymówił stanowczym, dźwięcznym głosem.

— Wyjawil pan przed chwilą myśl moją własną. Szukamy tu wszyscy prawdy i z tej przy czyny gotów jestem dać panu wszelkie żądane wyjaśnienia.

Na dźwięk tego głosu Frank zadrżał.

Mówiąc, był tym samym nieznajomym, który go odwiedził dnia poprzedniego.

Wszyscy równocześnie zwrócili się ku niemu, ale nieznajomy nie zdawał się być zmieszany ogólną uwagą na siebie zwróconą, przeciwnie, z uśmiechem pewności i lekkiej ironii spojrzął na obecnych.

— Otóż przebieg sprawy przedstawia się w następujący sposób — ciągnął dalej lekarz. — Przed kilkoma godzinami panna Sylwia de Compans odczuła osłabienie silne całego organizmu. Niewytłumaczony smutek i przynębie nie ogarnęło ją, wywołując płacz długi, spazmatyczny. Chciała pozostać sama i oddała domowników od siebie. Nagle okrzyk przeraźliwy przywołał ich z powrotem. Natychmiast ułożono ją w łóżku. Panna de Compans zapadła w rodzaj jakiegoś dziwnego oszomienia, przerywanego konwulsyjnymi wbuchami śmiechu, który w najwyższym stopniu przeraził jej ojca. Następnie objawiło się zżęcenie wszystkich muskułów ciała, a przedewszystkiem stosu pacierzowego. Ażak ten trwał krótko, zaledwie dwie minuty może, ale wkrótce powrócił silniejszy jeszcze. Puls i oddech był przyspieszony. Symptomata te jednak znikły znowu po upływie pewnego czasu, ale jestem przekonany — dodał tajemniczo lekarz, spoglądając na zegarek — że atak powróci wkrótce.

Frank, przejęty tem co słyszał, nie mógł zauważyć, że przewidywanie lekarza, wymówione głosem pewnym i z naciskiem, w każdym razie było dziwne i niezrozumiałe. Podszedł szybko do łóżka, na którym spoczywała młoda dziewczyna i ujął ją za rękę. Puls był równy, ale szybki. Jednakże dotknięcie to wywołało silny wstrząs całego ciała. Ramiona chorej wyciągnęły się kurczowo, poczem ciężkie, zeszywniałe opadły na koldrę, po twarzy przebiegło nerwowe drganie, a oddech stał się bardzo powolny i krótki.

Frank wyprostował się, zdjęty śmiertelnym przerażeniem. Błysk nagły przemknął w jego oczach, szybkim ruchem przesunął ręką po czole, na którym wystąpiły grube krople potu. Twarz jego oblekła się śmiertelną bledością.

— Córka moja jest zgubiona! — zawołał zrozpaczoną głosem bankier de Compans, który niespokojnym spojrzeniem śledził ruchy młodego lekarza.

Obecni doktorzy zamienili ze sobą porozumiewawcze spojrzenia. Ale Frank najmniejszej uwagi nie zwracał na otoczenie, przejęty tylko jedną myślą ratowania Sylwii.

Bezwiednym ruchem pochylił się raz jeszcze nad nią i ostrożnie rozchylił palcami jej wargi. Siny odcień pokrywał je, rozchodząc się po całej jamie ustnej i podniebieniu.

Lekki okrzyk wybiegł z piersi Franka.

Baron de Compans podbiegł do łóżka i pochwycił go gorączkowo za rękę.

— Co to jest? Co się stało? — zapytał drżącym głosem.

— Jest to — zaczął Frank...

— Że panna de Compans potrzebuje spokoju — podchwycił nieznajomy, nie pozwalając młodemu człowiekowi dokończyć zdania.

Szybko pochylił się ku niemu i szepnął rozkazująco, ściskając silnie jego rękę:

— Trzeba milczeć, rozumiesz, za wszelką cenę milczeć.

Następnie zwrócił się do obecnych i wymówił poważnym głosem.

— Kolega mój wymaga większej przestrzeni i powietrza dla chorej. Może obecni zechcą się cofnąć cokolwiek.

— Rzeczywiście — wyszeptał Frank, ulegając bezwiednie wpływowi nieznajomego.

Bez słowa protestu baron de Compans, lekarze i służba, znajdująca się w pokoju, cofnęli się ku drzwiom, zostawiając wolne przejście koło łóżka chorej.

Wówczas Frank zwrócił się do nieznajomego i wyrzekł zrozpaczoną głosem.

— Ależ ona umiera! Czy pan tego nie widzi?

— Jeszcze nie. Żyć może jeszcze kilka minut — odparł tamten spokojnie.

— Ta dziewczyna została otruta!

— I komuż to pan mówi — zaśmiał się ironicznie nieznajomy. — skoro to ja sam zadałem jej truciznę?

Frank mimowolnie cofnął się, wydając lekki okrzyk.

Słowa te podziały na niego jak uderzenie piorunu. Przez chwilę patrzył na nieznajomego oszalałymi oczami, nie mogąc wydobyć głosu z zaciśniętej piersi.

Tamten zaś wzruszył lekko ramionami i uśmiechnął się pobłaźliwie.

— To ja jej zadałem truciznę — powtórzył z naciskiem po chwili milczenia.

— Ależ to okropne! — wyszeptał Frank z trudem. — Ta trucizna jest bardzo niebezpieczna.

— Jest śmiertelna! — wymówił twardo nieznajomy, patrząc prosto w oczy młodego człowieka.

— I pan to mówi z takim zimnym spokojem! Czy nie rozumie pan, że to chodzi o Sylwię de Compans i że jeżeli ona umrze, ja zabiję pana!

— Dziecko jesteś — odparł nieznajomy, nie zdradzając najmniejszego wzruszenia. — Boleść oślepiła cię! Zbierz myśli i zastanów się rozsądnie.

— Jak pan może mówić o rozsądku, skoro ona umiera tu, w naszej obecności.

— A więc znana jest panu trucizna, która niszczy jej organizm — zapytał z pewną ciekawością nieznajomy.

— Zapewne.

— Zwracam się obecnie do lekarza, nie do człowieka i żadam stanowczej odpowiedzi.

— Jest to straszna trucizna jawy „boom upas”.

— To zwykła nazwa tam używana. W medycynie znamy ją pod nazwą „upas-entiar”.

— Eh! Cóż mi na tem zależyl — zachnął się niecierpliwie młody lekarz.

— A jednak powinno pana to obchodzić. Jeżeli pan zna symptomata tej trucizny, to po powinien pan również znać czynniki zwalczające je.

— Co pan mówi?

— Pan nigdy nie był pomiędzy ludnością wyspy jawy?

— Nigdy.

— A to co innego. Gdybyś pan tak jak ja przebywał tam czas dłuższy, wiedziałbyś, że kilka kropel tego płynu wystarczyć może do uratowania ofiary zatrutej „upasem”.

Mówiąc to, nieznajomy wsunął delikatnie do ręki Franka flakon, zawierający płyn bledo-żółty.

Młody człowiek, który został nagle rzucony w wir denerwujących i dziwnych wypadków, których wyjaśnić sobie nie umiał, czuł teraz, że wola własna odbiega go powoli i ulega tajemniczej sugestii, narzuconej mu przez nieznajomego.

Bez wahania ujął więc flakon i przyłożył go do ust chorej. Leżała ona teraz bez czucia, nie dając żadnej oznaki życia. Zdawało się, że z piersi jej oddech na zawsze już uleciał.

— Porażenie jest zupełne — szepnął Frank. — Płyn ten nie potrafi już jej uratować.

— Pan się myli, panie doktorze — odpowiedział żywo nieznajomy. — Porażenie to jest tylko pozorne.

— Ale coż robić teraz? — zapytał młody człowiek z bezradnym gestem.

— Należy zastosować sztuczne oddychanie — rzucił nieznajomy, poczem oddalił się szybko.

Błysk nadziei przemknął w oczach Franka. Nieznajomy mówił prawdę, jeszcze nie wszystko było stracone. Tylko trochę zimnej krwi i odwagi. Sylwia uratowana być mogła.

I jakgdyby ożywiony nadnaturalną siłą, Frank pochylił się gorączkowo nad twarzą młodej dziewczyny i przycisnął usta swoje do jej warg pobladłych, usiłując przełamać w nie tchnienie własnych piersi.

Czynność ta, wymagająca wiele cierpliwości i ostrożności, podniecała w wysokim stopniu